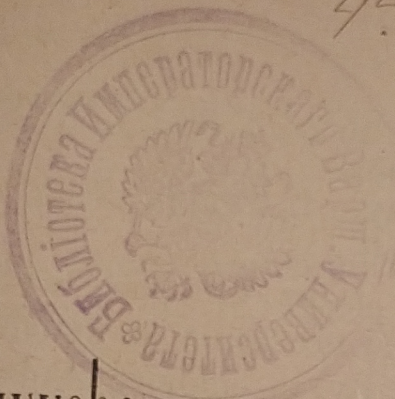


4². 24. 12/355



O chłopcu, wychowanym pod kloszem.

NOWELA

Rudgarda Kiplinga.

Wychowywać chłopca pod kloszem — na nic się nie zdało. Naraża się go tylko na zawody i przykrości, a czasem na zgubę. Takie bywają skutki, gdy nie nauczymy synów patrzeć na rzeczy jasno i trzeźwo.

Jeśli szczeniak naje się mydła, albo wylize but świeżo wyczyszczony, w pierwszej chwili bardzo mu to smakuje, ale potem przekonywa się, że to przysmaki niestrawne, i wyprowadza stąd wniosek, że jeść ich nie należy. Pierwszy lepszy stary pies nauczy go, że nieroztropnie rzucać się na duże brytany. Ponieważ szczeniak jest młody, więc pamięta nauczki, a po pół roku jest zupełnie przygotowanym do psich warunków życia.

Gdyby go trzymano zdala od butów, od mydła i od brytanów, i gdyby zapoznał się z nimi już jako „dorosły”, ileżby go to kosztowała rozczarowań i „frycówek”!

Porównajmy ten system wychowawczy z systemem „trzymania pod kloszem”, a rezultaty wykażą: któ-

ry z nich lepszy. Z dwojga złego, należy zawsze wybierać — mniejsze.

Otóż był sobie Chłopiec, wychowany „pod kłosem” od chwili urodzenia aż do chwili, gdy wstąpił do Sandhurst.¹⁾ Był to chłopiec bardzo poczciwy i „grzeszny”, nigdy rodzicom swoim nie sprawił najmniejszej przykrości.

Czego się nauczył w Sandhurst po za wojenną rutyną — mniejsza; dość, że się rozejrzał po świecie i znalazł, iż szuwaks i mydło są bardzo smaczne. Kosztował jednego i drugiego i wyszedł z Sandhurst trochę mniej naiwny, niż tam wstąpił.

Gdy ukończył szkołę, rodzice postarali się go umieścić w pułku trzeciorzędnym, „zdala od pokus świata”; w tym pułku wszyscy nowicyusze byli jako niemowlęta, a dawniejsi — jak stare baby. Potem nasz Chłopiec wyruszył do Indyj; zabrakło mu odrazu opieki rodzicielskiej, nie miał do kogo zwracać się o pomoc w chwilach trudnych i niebezpiecznych.

Otóż w Indyach, bardziej niż w innych krajach, nie należy brać na seryo niczego, oprócz, ma się rozumieć, słońca. Zbytek pracy i energii zabija tam, równie jak wszelkie inne nadużycie. Kochać tam nie warto, albowiem kochanek lub ukochana pewnego pięknego poranku przeniesie się gdzieindziej i zapomną o sobie. Spełniać obowiązków także nie warto, bo tu sądzą człowieka nie wedle dobrych, lecz według złych czynów. Zaniebywać obowiązków także nie warto, bo inni wywiązują się z tego jeszcze lepiej, a niezdolni do służby wojskowej trzymeni są dłużej w Indyach, niż gdzieindziej. Bawić się także nie warto, bo zabawy są

¹⁾ Sandhurst — angielska szkoła wojenna.

nudne i jednostajne, a zasadzają się przeważnie na wydobyciu pieniędzy z kieszeni bliźniego. Chorować także się nie opłaca, bo to nie trudnego — wszyscy tu chorują, a nikt nie bywa odsyłany do kraju; jeśli umrzesz, to inny zastąpi cię na danem stanowisku jeszcze przed twoim pogrzebem. Wogóle nic się nie opłaca, chyba tylko brać urlopy i podwyżki, dlatego bodaj, że jedno i drugie zdarzają się rzadko i niepodobna przesycić się niemi.

Najlepiej nie brać nic i nikogo na seryo i uciekać stamtąd do innych miejsc, gdzie rozkosze życia są prawdziwą rozkoszą, a opinia ludzka coś warta.

Ale ów Chłopiec — stara to, jak świat, bajka — przejmował się wszystkim szczerze i gorąco. Był ładny, więc mu pochlebiano. Brał pochlebstwa na seryo i szalał za kobietami, które nie były warte siodła, na którym się do nich jeździło. Życie w Indjach i nieznaną dotąd swoboda podobały się Chłopcowi, tak, jak każdemu podporucznikowi, gdy się jeszcze nie znudzi koleżeństwem, balami, flirtem i t. d. Zasmakowało mu to życie, jak mydło szczeniakowi. Tylko zaczynał go kosztować zapóźno, gdy już mu się wyrznęły wszystkie zęby, nawet mądrości. Nie miał poczucia stosunku i miary — zupełnie jak ów mały piesek — i nie mógł zrozumieć, dlaczego nikt nie świadczy mu takich względów, jak pod rodzicielskim dachem. Bolało go to srodze.

Kłócił się z kolegami, a że był drażliwy do szpiku kości, więc nie zapominał kłótni i brał je bardzo do serca. Lubił wista, wyścigi, karuzele i inne tym podobne rozrywki, ale zbytnio przejmował się niemi. Tracił pieniądze w wista i na wyścigach, bo to były dla niego rzeczy zupełnie nowe.

Rozpaczał nad każdą przegraną i zmarnował tyle

energii w wyścigach kuców, jak gdyby chodziło co najmniej o Derby. Był to skutek niedoświadczenia i zawrotu głowy, jakiego dozna każdy, gdy z pod kłosza wyjdzie na świeże powietrze. Nikt mu nie mówił o mydle i szuwaksie, bo każdy zwykły człowiek przypuszcza, że drugi zwykły człowiek ma się na baczności pod tym względem.

Przykro było patrzeć, ile Chłopiec trwonił zapалу dla użycia przyjemności, które nie są warte, aby po nie rękę wyciągać. Trwało to przez pół roku — przez całą zimę; sądziliśmy, że upał, świadomość marnowanego zdrowia i pieniędzy otrzeźwią Chłopca i że odnajdzie równowagę. W dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto tak bywa.

Ale tym razem przyszła kolej na ów rzadki wyjątek, gdyż Chłopiec był zbyt wrażliwy i wszystkim się przejmował — jak to już ze sześć razy co najmniej powtórzyłem.

Ma się rozumieć, nie mogliśmy wiedzieć, do jakiego stopnia te nadużycia dotknęły go osobiście. Wszystkie jego wybryki nie przekraczały zwykłej miary. Najdalej musiałyby ściągnąć sobie cugle i związać trzosa. Pierwszy lepszy *shroff*¹⁾ dopomógłby mu chętnie. Ale on zapatrywał się na to inaczej i sądził, że jest zgubionym bez ratunku. Pod koniec zimy pułkownik zgromił go ostro. Chłopiec wpadł w rozpacz, choć było to zwykle „pułkownikowskie głowomycie”.

Dalsze wypadki są ciekawym przykładem, jak jesteśmy odpowiedzialni jedni za drugich. W umyśle Chłopca przeważały szale słowa pewnej damy, z którą rozmawiał. Nie warto ich powtarzać; było to zdanie

¹⁾ *Shroff* — bankier indyjski.

może okrutne, ale rzucone bezmyślnie; usłyszawszy je Chłopiec, zarumienił się po uszy.

Przez trzy dni nikomu się nie pokazał, a czwartego poprosił o 48-godzinny urlop, pod pozorem, że chce polować w pobliżu *Rest-House* ¹⁾ inżyniera kanałów, o trzydzieści mil angielskich od garnizonu.

Otrzymał urlop i owego wieczoru w klubie oficerskim był jeszcze hałaśliwszy i zaczepniejszy, niż zwykle. Oznajmił nam, że wyrusza na grubą zwierzynę i wyjechał o wpół do jedenastej dwukołowym wózkiem.

W pobliżu *Rest-House* nie było nic, oprócz przepiórek, a te nie należą do grubej zwierzyny, to też wszyscy śmieli się z Chłopca.

Nazajutrz rano major, po powrocie z krótkiego urlopu, usłyszał, że Chłopiec wyruszył na „grubego zwierza”.

Ów major był mu życzliwy i kilka razy w ciągu zimy starał się uzyskać jego przeniesienie do Anglii — ale napróżno. Teraz, słysząc o nowym wybryku, poszedł do kwatery Chłopca i przetrząsnął wszystkie kąty. Wychodząc, spotkał się ze mną na korytarzu.

— Chłopak wyruszył na przepiórki — rzekł. — Czy strzela się do przepiórek z rewolweru i z teczki?

— To być nie może! — zawołałem, domyślając się jego przypuszczeń.

— Bądź co bądź, jestem niespokojny i natychmiast wyruszam do kanału — oświadczył. — Czy potrafisz pan kłamać? — spytał.

¹⁾ *Rest-House* — pawilon dla odpoczynku.

— Wszak to mój fach — odparłem.

— Musisz pojechać ze mną do kanału... zaraz...
Wyruszamy na kozły. Przebierz się po myśliwsku i wracaj ze strzelbą.

Major nie lubił słów marnować; wiedział zawsze, czego chce i umiał wzbudzać posłuszeństwo. To też zastosowałem się do jego woli. Gdy wróciłem, już go ujrzałem na biedce: w nogach ustawił pudełko ze strzelbą i prowianty. Wyglądało to zupełnie na wycieczkę myśliwską.

Odprawił stangreta i sam ujął cugle. Dopóki byliśmy w koszarach, konik biegł wolnym truchcikiem; lecz skoro tylko znaleźliśmy się na miejscu otwartem, biedka pomknęła, jak strzała. Konik indyjski może przez cały dzień pędzić wyciągniętym kłusem. Przebyliśmy trzydzieści mil w trzy godziny niespełna, ale biedne stworzenie było nawpół żywe.

— Czemu tak lecimy? — pytałem po drodze.

Odpowiedział mi z całym spokojem:

— Chłopak był tu sam, zupełnie sam przez jedną... dwie... czternaście godzin! Jestem o niego niespokojny.

Niepokój i mnie się udzielał; pomagałem majorowi zacinać konika.

Gdyśmy przybyli do domku nad kanałem, major wołał na służącego, ale nie było odpowiedzi. Weszliśmy, przyzywając Chłopca po imieniu, ale znowu odpowiedzi nie było.

— Bał wyszedł na polowanie! — rzekłem.

W chwili tej w jednym z okien ujrzałem światłoko. Staaliśmy obaj pod werandą i nasłuchywali każdy szelest, ale z głębi pokoju dolatywało tylko brzęczenie much.

Major zdjął czapkę; weszliśmy.

Chłopiec leżał martwy na tapczanie z roztrzaskaną czaszką. Pudełko ze strzelbami było zamknięte, pościel niewypakowana z tłomoków, na stole leżała teczka z fotografiami.

Chłopiec odszedł w zaświaty...

— Biedny, biedny dzieciak! — szepnął major. — Potrzebuję pańskiej pomocy w tej sprawie — rzekł po chwili.

Ponieważ Chłopak zginął z własnej ręki, domyśliłem się, o jaką pomoc chodzi. Usiadłem przy stole, zapaliłem cygaro i zacząłem przeglądać teczkę. Major powtarzał:

— Biedny, biedny dzieciak!

Chłopiec przez całą noc pisał do rodziców, do pułkownika, do jakiejś panienki w Anglii, a gdy skończył, zaraz się zastrzelił — bo już oddawna nie żył.

Odczytywałem te listy, podając je majorowi. Chłopak pisał o „hańbie, której nie mógł przeżyć”, o „zbrodniczym szaleństwie”, o „zmarnowanym życiu” i tak dalej, nie mówiąc już o zwierzeniach poufnych, zbyt świętych, aby je tu powtarzać. Najbardziej wzruszył mnie list do panienki; gdym go czytał, ścisnęło mi się w gardle.

Major nie silił się nawet na zimną krew. Czytając go, płakał jak kobieta, bez ukrywania łez. Zapominaliśmy o wszystkich szaleństwach Chłopca wobec tego martwego ciała i tych zapisanych kartek.

Niepodobna było takich listów wyprawić do Anglii. Rozdarłyby serce ojcu, zabiłyby matkę, godząc w jej wiarę w syna.

Wreszcie major otarł łzy i rzekł:

— Miła niespodzianka dla rodziny angielskiej! Co teraz z tem zrobić?

Wiedziałem, dlaczego mnie tu sprowadził, i rzekłem:

— Chłopiec umarł na cholere. Byliśmy przy śmierci...

Zabrałem się do tragicznej roboty: pisałem brulion, major od czasu do czasu dodawał mi pomysłów, paląc wszystko, co chłopiec napisał.

W bladym świetle lampy przekładałem rodzicom, że Chłopiec był wzorem wszelkich cnót, że go ubóstwiano w pułku, że miał przed sobą świetną karierę i t. d. i t. d. Opisywałem, jak go oglądali w chorobie, jak umarł spokojnie, bez bólu.

Dygotałem z wewnętrznego wzruszenia, wypisując te kłamstwa pobożne i myśląc o rodzinie, która je będzie czytała z wiarą. Nagle sytuacja przedstawiła mi się ze strony komicznej i zacząłem się śmiać—do łez, a łzy przeszły w serdeczne łkania. Major mi wtórował. Wreszcie oświadczył, że musimy się napić *whisky*, bo nie wytrzyma.

Pochłonęliśmy niezliczoną ilość kieliszków przy redagowaniu tego listu. Nic nam to nie pomogło. Następnie zawinęliśmy zegarek, medalion i pierścionki.

— Trzeba posłać pukiel włosów. Kobiety są na to wrażliwe — rzekł kapitan.

Ale włosy były tak krwią zbryzgane i zlepione, że niepodobna było wybrać jednego bodaj kosmyka. Na szczęście, major był brunetem, tak samo, jak Chłopiec. Obciąłem mu kępkę włosów przy skroni i wsuwałem ją do pakieciku.

I znowu porwał mnie śmiech, przeplatany łzami. Major szlochał, jak dziecię.

Pakiecik z fotografiami, medalionem, pierścionkami, listem i puklem włosów opieczętowaliśmy lakiem i pieczęcią Chłopca.

Major omdlewał.

— Na miłość Boską — rzekł — wyjdźmy stąd na świeże powietrze!

Chodziliśmy nad brzegiem kanału, wciąż popijając whisky. Poznałem wówczas stan duszy mordercy. Gdy księżyc wypłynął na niebo, wróciliśmy do pokoju.

Czekała nas gorsza jeszcze robota.

Nie będę jej opisywał. To za okropne. Spaliliśmy tapczan i wrzuciliśmy popioły do kanału. Poszedłem do sąsiedniej wioski po motykę, tymczasem major załatwiał się z... resztą.

Wykopanie grobu zajęło nam cztery godziny. Kłopot, zastanawialiśmy się, czy można odmówić pacierze za umarłych... Po naradzie odmówiliśmy „Ojcze nasz” za spokój duszy Chłopca. Zasypawszy grób, padliśmy na ziemię przed domem i usnęliśmy odrazu.

Gdyśmy się obudzili, major rzekł:

— Nie możemy wracać wcześniej, jak jutro. Trzeba mu dać czas umrzeć na cholere. Pamiętaj: umarł dziś rano.

— W takim razie czemu nie przywieźliśmy zwłok do obozu?

— Bo wszyscy uciekli, słysząc o cholere. Zresztą nie było ekki.

Istotnie. Wśród naszych zajęć zapomnieliśmy o biedce. Kucyk wrócił z nią do obozu.

Musieliśmy przesiedzieć cały dzień w tym okropnym domku. Powtarzaliśmy sobie nasze kłamstwa o śmierci Chłopca, aby się przekonać, czy niema słabych punktów.

W południe zjawił się jakiś Hindus. Powiedzieliśmy mu, że *sahib* umarł na cholera. Usłyszawszy to, uciekł.

Major opowiadał mistraszne historye samobójcze, od których włosy stawały na głowie. Opowiadał, że i on sam, zamłodu, po przybyciu do Indyj, brodził po Dolinie Cieniów, przez którą Chłopak przebrnąć nie zdołał i że dlatego rozumie walkę, jaka musiała się toczyć w tej biednej, zwichrzonej duszy. Mówił, że młodzieńcy w chwilach żalu i skruchy widzą swe grzechy w świetle o parę tonów ciemniejszym od właściwego i sądzą, że niema już drogi ratunku.

Cały wieczór zeszedł nam na poważnem wnikanii w istotę życia i śmierci. Skoro tylko księżyc zeszedł i gdy teoretycznie mieliśmy już czas pochować Chłopca, zmarłego rano, podążyliśmy pieszo do obozu. Szliśmy od ósmej wieczorem do szóstej zrana, a choć przybyliśmy nawpół żywi, pierwsze nasze kroki zostały skierowane do kwatery Chłopca. Schowaliśmy jego rewolwer i położyliśmy teczkę na stole, poczem udaliśmy się do pułkownika dla złożenia raportu, wreszcie poszliśmy się położyć i spaliśmy całą dobę.

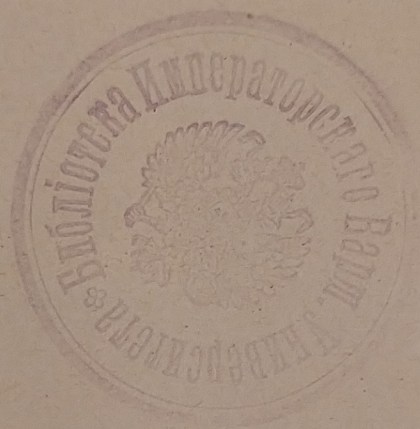
Uwierzono w naszą bajkę i wierzono w nią przez dwa tygodnie, poczem wszyscy zapomnieli, że Chłopiec żył. W tym czasie znaleźli się jednak tacy, którzy nazywali majora „skończonem bydłciem” za to, że nie przywiózł zwłok do obozu dla sprawienia chrześcijańskiego pogrzebu.

Najsmutniejszą rzeczą w tej smutnej historyi był list matki Chłopca. Pisała wzruszające rzeczy o naszej dobroci i o wdzięczności, którą nam dochowa do śmierci.

Wistocie należała nam się wdzięczność... ale nie za to, za co nam dziękowano.

(Przełożyła E. Żmijewska).

K O N I E C .



1903
65 н.г. 10 км.